Nr. 237. Kraków, niedziela 30 sierpnia 1903. Rocznik XII.

Redakcya: ul. Basztowa, Hotel Centralny.
Administracya: ul. Sławkowska 29.
Adres na telegramy: Naprzód Kraków.
Telefon Redakcyi: Nr. 396.

Listy należy adresować do Redakcyi „Naprzodu" Kraków, ul. Basztowa, a prenumeratę, zamówienia i reklamacye do Administracyi „Naprzodu", Kraków, ul. Sławkowska 29.

Reklamacye otwarte są wolne od opłaty pocztowej.

Numer pojedynczy 8 halerzy.
Numer poniedziałkowy 4 halerze.

NAPRZÓD

Organ polskiej partyi socyalno-demokratycznej

Wychodzi codziennie o godz. $7^1/_2$ rano, a w poniedziałki i dni poświąteczne o godz. 10 rano.

Do nabycia w Administracyi ul. Sławkowska 29. w filii ul. Poselska 15, oraz we wszystkich biurach dzienników.

Ogłoszenia przyjmuje Dział inseratowy: ulica Poselska 15, oraz biura ogłoszeń i dzienników: St. Sokołowski we Lwowie, Pasaż Hausmanna; Haasenstein & Vogler w Wiedniu, Berlinie, Wrocławiu i Hamburgu; M. Opelik, R. Mosse i M. Dukes w Wiedniu; C. Adam w Paryżu rue de la Varenne 38.

Listy w sprawie inseratów i należytości za ogłoszenia adresować należy: Dział inseratowy „Naprzodu", Kraków, Poselska 15.

Prenumerata wynosi: W Krakowie (bez odsyłki): miesięcznie 1 korona 60 hal., kwartalnie 4 kor. 80 hal., rocznie 18 kor. — Za dostawę do domu dopłaca się miesięcznie 40 hal. — W Austryi: miesięcznie 2 kor., kwartalnie 6 kor., rocznie 24 kor. — W Niemczech: kwartalnie 7 marek. — W innych krajach kwartalnie 10 franków. — Za każdą zmianę adresu dopłaca się 40 hal. — Dla robotników w Krakowie i Podgórzu tygodniowa prenumerata 40 hal.

Ogłoszenia (inseraty) kosztują od miejsca wiersza jednoszpaltowego drobnym drukiem (petitem) za pierwszy raz po 20 halerzy, następny po 10 halerzy. — Nadesłane od miejsca wiersza drukiem petitowym po 40 hal. za każdy raz. Śluby, zaręczyny i nekrologi po 80 hal. od wiersza za każdy raz. — Załączniki (prospekty i t. d.) przyjmuje się za cenę 2 kor. za 100 egzemplarzy dla zamiejscowych, a 1 kor. za 100 egzemplarzy dla miejscowych prenumeratorów. — Należytość należy naprzód nadesłać.

Żądamy równego, powszechnego, bezpośredniego i tajnego prawa wyborczego! Precz z kuryami!

Czas odnowić przedpłatę!

Prenumeratorów „Naprzodu" upraszamy o rychłe odnowienie przedpłaty na wrzesień celem uniknięcia przerwy w doręczaniu dziennika.

Kto do 5 września nie odnowi przedpłaty, temu dalsza przesyłka „Naprzodu" zostanie wstrzymaną.

Prenumerata na miesiąc wrzesień
wynosi:

w Krakowie bez odsyłki . . . . **K 1·60**
w Krakowie i Podgórzu z doręczeniem do domu . . . . **K 2·—**
w Austryi z przesyłką pocztową . **K 2·—**

Abonentów miejscowych uprasza się, aby z odnowieniem prenumeraty, zmianą adresu zwracali się wprost do administracyi pisma Sławkowska 29, a nigdy za pośrednictwem roznosicieli pisma.

Administracya „Naprzodu".

Z początkiem września rozpoczniemy druk nader interesującego felietonu p. t.:

WALKA REWOLUCYJNA
POD ZABOREM ROSYJSKIM.

Wrażenia i fakty z ostatnich lat dziesięciu.

Autor, jeden z najwybitniejszych naszych towarzyszy, pracujących w szeregach Polskiej Partyi Socyalistycznej, roztacza w szeregu opisów całokształt potężnego pasowania się polskiego proletaryatu z przemocą rządów carskich i ze starym ustrojem społecznym w Polsce.

Rzecz cała napisana barwnie i zajmująco, a nasi czytelnicy w Galicyi poznają cały ogrom przeciwieństw, męczarni i poświęceń, składających się na wyzwolenie polskiego proletaryatu pod zaborem rosyjskim.

Redakcya „Naprzodu".

Z DNIA.

Kraków, 29 sierpnia.

Lichwa mięsna w Krakowie.

Do ogólnego zastoju ekonomicznego i drożyzny, do klęsk elementarnych, jakie tak silnie odbiły się na naszem mieście, przybywa nowa prawdziwa klęska mieszkańców miasta: niesłychana wprost drożyzna mięsa, jednego z najniezbędniejszych środków do życia ludzkiego.

Oto — jak wiadomo — cech rzeźników krakowskich wniósł do magistratu pismo z zawiadomieniem, że od 1 września b. r. podnoszą rzeźnicy ceny mięsa o 8 hal. na kilogramie.

Dotychczas kosztowało mięso 56 i 60 ct. za kilogram, obecnie kosztować będzie 60 i 64 ct.

Robotnik, rzemieślnik, niezamożny urzędnik, słowem, ci wszyscy, którzy muszą do ciężkiej pracy pokrzepiać siły jakimiś środkami bardziej pożywnymi, a którzy i tak skazani są na bardzo skąpe zaspakajanie swych potrzeb, będą musieli obecnie szczupłe porcye swe jeszcze bardziej ograniczyć, lub poprostu — z braku środków — wyrzec się zaspakajania potrzeb najniezbędniejszych dlatego tylko, by zyski kilkuset rzeźników przypadkowo tylko nie zostały w niczem naruszone.

Podwyższenie cen mięsa odbije się dotkliwie na interesach $^9/_{10}$ mieszkańców Krakowa.

Co przytaczają panowie rzeźnicy na usprawiedliwienie tej lichwy mięsnej? Oto: „trudności w dowozie bydła, tudzież podrożenie bydła z powodu zwiększonego eksportu za granicę i... braku paszy!

Argumenta te nie wytrzymują krytyki, a nawet — jak np. brak paszy — jest wprost śmieszny. Brak paszy bowiem powoduje raczej stanienie, a nie podrożenie bydła, nie mając bowiem czem karmić, wielu hodowców wyprowadza bydło na targ.

Zresztą zyski garści rzeźników mogą być tylko dla nich samych miarodajne, ale nie dla kilkudziesięciu tysięcy mieszkańców miasta. Nie myślimy więc wcale roztrząsać sumienia panom rzeźnikom, natomiast musimy zwrócić uwagę na obowiązki, jakie w tej chwili władze gminne spełnić powinny.

Magistrat krakowski ma przed sobą dwie drogi: albo udzielić swej sankcyi tej lichwie mięsnej przez milczące przyjęcie podwyższenia cen mięsa do wiadomości, albo też stanąć w obronie tysięcy obywateli przez założenie miejskich jatek — na wzór miejskiego składu węgla — któreby sprzedawały mięso po cenie dotychczasowej.

Przed kilku dniami odbyło się posiedzenie magistratu, na którem uchwalono zastanowić się nad sprawą założenia jatek miejskich i sprzedaży mięsa we własnym zarządzie.

Uchwała ta wprawdzie zdradza „dobre chęci", jest jednak nieznacznym początkiem całej akcyi. Nie chcemy z góry niczego przesądzać, mamy jednak prawo domagać się — w interesie mieszkańców — by to „zastanawianie się" nie trwało miesiącami, lecz w jak najkrótszym czasie pozytywne wydało rezultaty.

Jeżeli magistrat na seryo myśli stanąć w obronie konsumentów, wówczas długo zastanawiać się nie będzie. Zresztą sprawa jest tak prostą i nie przedstawiającą trudności, że nie potrzebuje wcale długich studyów. Skoro istnieje już miejski skład węgla, dlaczego nie ma istnieć miejska sprzedaż mięsa, która w wielu obcych miastach już istnieje!

Wszelkie odwlekanie tej sprawy wyjść może tylko na korzyść kilkuset rzeźników, a na szkodę tysięcy konsumentów. Założenie miejskich jatek powinno więc w jak najkrótszym czasie stać się faktem.

Zobaczymy, czy gmina spełni należycie swój obowiązek wobec tysięcy mieszkańców!

Precz z przywilejami wyborczymi.

Z padołu łez i nędzy.

Lwów, 28 sierpnia.

Na ulicy Teatralnej, tuż obok kościoła Jezuitów, wznosi się wielki, stary gmach, mieszczący w swojej frontowej części dział dyrekcyi skarbowej, zaś w części tylnej sąd handlowy. Tam odbywają się procesy cywilne, bogaci kupcy, przemysłowcy, fabrykanci procesują się ze sobą o tysiące i dziesiątki tysięcy. Ale ważniejsze i daleko ciekawsze są rozprawy, rozgrywające się co środę w jednej ze sal przed sądem rozjemczym.

Tu biedni robotnicy, ścierani w ciężkiej pracy dla majstra, przedsiębiorcy, fabrykanta, staczają zaciętą walkę z zakładem ubezpieczenia od wypadków, którego zarząd jest typowym pieniaczem procesowym. Mimo, że krocie tysięcy zbiera rok rocznie, mimo, że dziesiątki tysięcy co roku przelewa do funduszu rezerwowego, zakład ten, mający być w pierwszym rzędzie instytucyą społeczną — w rękach obecnego zarządu jest wszystkiem innem, tylko nie instytucyą, z której robotnik mógłby ciągnąć prawdziwe i pełne korzyści.

Wystarczy wejść na salę rozpraw, aby osłupieć ze zdumienia i chwilami trudno się zoryentować, czyliż to sala rozpraw sądowych, czy sala szpitalna. Na pierwszy rzut oka stają przed oczyma widza różnego rodzaju kaleki. Tu jeden w bluzie robotniczej, któremu maszyna ucięła palce, tam w kącie siedzi starszy robotnik z jedną tylko nogą, drugą stracił spuszczając się do szybu naftowego lub woskowego. Tu znowu w kącie siedzi zgarbiony chłop, skulony we czworo, o jednem tylko oku, a od którego trudno się dowiedzieć, po co właściwie znajduje się w sądzie. Dopiero zastępca zakładu na wspomnienie nazwiska konstatuje z aktów, że to Rumun, przybyły aż z Bukowiny, wydający wyżebrany grosz na podróż w nadziei, że sędziowie na widok nieuleczalnego kaleki przecież będą mieli więcej serca w interpretowaniu ustawy, aniżeli zarząd zakładu.

Tam dalej jeszcze wdowa i sieroty czekają na orzeczenie sądu rozjemczego, ażali dobrze zrobił zakład, że odmówił im najmniejszej nawet renty, mimo, że straciły męża i ojca na polu pracy.

Przysłuchując się rozprawie, ma się często wrażenie, że prócz asesora robotniczego i prawnego zastępcy robotnika wszystko się sprzysięgło przeciw nędzarzom! Ustawa, interpretator ustawy, zastępca zakładu, to wszystko zwraca się przeciwko robotnikowi, a ponad wszystkimi wysuwa się figura lekarza sądowego dra Berezowskiego. Pan ten robi we wszystkich swoich orzeczeniach wrażenie lekarza nie objektywnego, lecz tylko płatnego urzędnika zakładu ubezpieczenia, stojącego wyłącznie na straży interesów tego zakładu. Orzeczenia jego są nieraz oryginalne, sprzeciwiające się najprymitywniejszym wiadomościom z medycyny, a obrońcy robotników krzyżowemi pytaniami pana tego nieraz już wprawili w kłopot.

Z całego szeregu spraw, jakie co tygodnia toczą się przed sądem rozjemczym, chcę jako przykład bezgranicznego zdzierstwa zakładu przytoczyć dwie sprawy, którym się przypadkowo przysłuchiwałem, a co do których mnie zapewniają ze sfer kompetentnych, że nie należą jeszcze do najdrastyczniejszych.

Górnik Wójcik, zajęty przy kowadle dnia 26 listopada 1902 r., stracił zupełnie lewe oko, a zachodzi obawa, że straci też i prawe. Domaga się tedy od zakładu całej 60-procentowej renty. Zakład podaje robotnika oględzinom lekarza zakładowego dra Skałkowskiego, który naturalnie staje po stronie zakładu, orzeka 35-procentową niezdolność i mimo, że to do niego wcale nie należy, dodaje w świadectwie celem ochrony interesów zakładu, że, jeżeli poszkodowany nie podda się operacyi i przez to straci i prawe oko, sam sobie przypisze winę ślepoty i w konsekwencyi do zakładu pretensyi mieć nie będzie. Poszkodowany za zgodą zakładu poddaje się oględzinom specyalisty w chorobach ocznych dra Bałłabana, ten orzeka 50-procentową niezdol-

---

ANTONI CZECHOW.

W SĄDZIE.

W mieście powiatowem N-sku, w brunatnym domu rządowym, gdzie kolejno zasiada zarząd ziemstwa, sąd pokoju, zarząd włościański, akcyzowy i wojskowy itd. itd., w jeden z ponurych, jesiennych dni urzędował przybyły na krótki przeciąg czasu oddział sądu okręgowego. O domu tym jeden z miejscowych administratorów puścił następujący dowcip:

— Jest tu justycya i policya i milicya, tak, jakby to był instytut dla dziewic dobrze urodzonych *).

Według przysłowia zapewne, że „gdzie kucharek sześć, tam niema co jeść", dom ten przygniata, miażdży poprostu kogoś obcego, nie „czynownika" smutnym, koszarowym wyglądem, starością i absolutnym brakiem jakiegokolwiek komfortu, tak zewnątrz, jak i wewnątrz. W najjaśniejsze nawet, wiosenne dni wydaje się pokrytym jakby cieniem nieprzenikliwym, a w księżycowe noce, gdy drzewa i domki „panów obywateli", spojone w jeden długi, nieprzerwany cień, posną w ciszy, on jeden jakoś niezdarnie i bez potrzeby wystrzela nad spokojny, cichy krajobraz, przytłacza go ciężarem ścian, psuje harmonię ogólną i nie śpi, nie mogąc, zda się zapomnieć o dawnych, nieodpuszczonych mu grzechach. Wewnątrz wszystko przypomina szopę, czy skład rupieci. Dziwne doprawdy, że wszyscy ci wytworni prokuratorowie, członkowie, przewodniczący, urządzający w domu u siebie sceny o ledwie wyczuwalny czad lub o plamkę na podłodze, tu tak łatwo godzą się z turkotem wentylatorów, ze wstrętnym zapachem łojówek i z zapoconemi ścianami.

Posiedzenie sądu okręgowego zaczęło się o godzinie dziesiątej. Do dzieła zabrano się natychmiast — z widocznym pośpiechem. Sprawy zamigotały jedna za drugą i kończyły się szybko, jak ciche msze, tak, że żaden umysł nie mógłby sobie złożyć całkowitego, obrazowego wrażenia, jakie wywierała cała ta masa twarzy, ruchów, przemówień, nieszczęść, prawdy, oszustwa... Do godziny drugiej zrobiono sporo: dwóch zasądzono do rot aresztanckich, jednego uprzywilejowanego pozbawiono praw i wsadzono do więzienia, jednego uwolniono, a jedną sprawę odłożono...

Punkt o drugiej przystąpiono do sprawy włościanina Mikołaja Charłamowa, oskarżonego o zbrodnię morderstwa, popełnionego na żonie własnej. Skład sądu pozostał ten sam, co i w sprawie poprzedniej, tylko miejsce obrońcy zajęła nowa osobistość — młody, gołowąsy prawie kandydat na urzędnika sądowego; miał on na sobie surdut z jasnymi guzikami.

— Wprowadzić podsądnego! — nakazał przewodniczący.

Podsądny, przygotowany już uprzednio, podchodził właśnie do swojej ławki. Był to wysoki, kościsty chłop, pięćdziesięcio-pięcioletni, zupełnie łysy, z apatyczną, zarosłą twarzą i z długą, rudą brodą. Szedł za nim malutki, chuderlawy żołnierzyk z karabinem.

U samej prawie ławki konwojujący potknął się i upuścił karabin, natychmiast jednak pochwycił go — w powietrzu, przyczem uderzył się kolanem o kolbę. Wśród publiczności zaśmiano się zcicha. Z bólu, czy też ze wstydu żołnierz poczerwieniał mocno.

Po zadaniu zwykłych pytań podsądnemu, po wylosowaniu przysięgłych, po sprawdzeniu obecności i odebraniu przysięgi od świadków — rozpoczęło się czytanie aktu oskarżenia. Blady, za szczupły do swego munduru sekretarz z wązką piersią i z plastrem na policzku czytał cichym, głuchym basem, szybko — jak djak, bez akcentów, bez czucia, bojąc się jakby sforsować piersi; wtórował mu wentylator, niestrudzenie brzęczący poza stołem sędziów — były to dźwięki przydające panującej naokół ciszy usypiający, narkotyczny charakter.

Przewodniczący, człowiek nie stary jeszcze, ze zmęczoną twarzą, krótkowidz, siedział w swoim fotelu bez ruchu, trzymając dłoń przy czole, niby zasłaniając oczy od słońca. Przy tym brzęku wentylatora i sekretarza myślał o czemś. Gdy sekretarz przerwał na chwilę dla zaczerpnięcia oddechu, nagle poruszył się i popatrzył na publiczność osowiałemi oczyma, potem nachylił się do ucha członka-sąsiada i spytał, wzdychając:

— Pan, panie Matwieju Piotrowiczu, stanął u Diemjanowa?

— Tak, u Diemjanowa! — odpowiedział członek, poruszywszy się również.

— Na przyszły raz i ja się tam pewno zatrzymam. U tego Tipiakowa wprost nie sposób mieszkać. Hałas, ruch całą noc! Stukają, kaszlą, dzieciaki płaczą... Nie sposób wprost.

Towarzysz prokuratora, pulchny, dobrze odkarmiony brunet, w złotych okularach, z piękną, wypieszczoną brodą, siedział bez ruchu, jak statua i, podparłszy dłonią policzek, czytał byronowskiego „Kaina". Oczy jego pełne były uwagi i brwi podnosiły mu się coraz wyżej i wyżej... Co pewien czas opierał się o poręcz krzesła, spoglądał bezdusznie poprzed siebie i w chwilę potem zatapiał się w czytaniu. Obrońca wodził po stole niezatemperowanym końcem ołówka i pochyliwszy głowę na bok, myślał... Młoda jego twarz nie wyrażała nic, prócz nieruchomej, zimnej nudy, spotykanej na twarzach uczniaków i czynowników, zmuszonych siadywać codzień na tem samem miejscu, widywać codzień te same twarze, te same ściany. Mowa, którą miał wypowiedzieć, nie robiła na nim żadnego wrażenia. Co to zresztą za mowa? Na rozkaz władzy, według starego szablonu, z pełną świadomością, że będzie bezbarwną i nudną, bez ognia i bez zapału wypowiedzianą przed sądem przysięgłych; no — a potem znów jazda po błocie, podczas deszczu na stacyę, stamtąd do miasta, żeby wkrótce znów otrzymać rozkaz udania się gdzieś do powiatu, nowa mowa... nudy!

Podsądny z początku pokaszliwał nerwowo w rękaw i bladł, wkrótce jednak cisza

*) Instytuty (t. zw. Maryjskie), to zn. szkoły wyższe dla córek szlachty i ludzi „zasłużonych", używają bardzo lichej opinii pod względem moralności.

ność, ale zakład opiera się przy orzeczeniu niespecyalisty i odmawia górnikowi wyższej renty. Wobec dwóch sprzecznych orzeczeń rzecznik poszkodowanego tow. dr **Diamand** domaga się podania Wójcika oględzinom dra Macheka, profesora okulistyki na tutejszym wydziale medycyny. Dr Berezowski oświadcza jednak, że między drem Bałłabanem a prof. Machekiem istnieje antagonizm taki, że możnaby się z góry spodziewać orzeczenia sprzecznego z orzeczeniem dra Bałłabana.

Wobec tego tow. dr **Diamand** domaga się orzeczenia kliniki krakowskiej, ale w tej chwili przewodniczący zauważa: A pojedzie na własne koszta? Bo sąd na to funduszów nie ma!

Tow. dr **Diamand**: A może zakład da?

Zastępca zakładu: My także na to funduszów nie mamy, zgadzam się na badanie przez klinikę lwowską.

Trybunał udaje się na naradę i uchwala Wójcika poddać oględzinom specyalisty w chorobach ocznych na klinice lwowskiej.

Biedny robotnik musi więc mimo upływu prawie roku, dalej jeszcze czekać na rentę, bo zakład stoi na stanowisku: Wpierw pomnożenie funduszu rezerwowego, a potem interes robotnika.

Następnie sprawa druga, charakteryzująca całą biurokratyczną bezduszność i zatwardziałość tego zakładu. Jako strona skarżąca występują wdowa i sieroty po robotniku blacharskim Janiku. Robotnika tego zatrudniał u siebie jakiś przedsiębiorca budowlany **Łańcucki**, oddając mu na prowincyi pokrycie blachą dachu kościoła i wieży kościelnej. Dzięki zachłanności przedsiębiercy, rusztowanie było tego rodzaju, że Janik zleciał z dachu i na miejscu się zabił, pozostawiając głucho-niemą wdowę i dwoje młodziutkich, niezaopatrzonych dzieci.

Zakład odmawia wszelkiej renty, wdowa i sieroty powołują zakład przed sąd rozjemczy. Jako zastępca skarżących staje tow. dr **Diamand**, jako zastępca zakładu urzędnik p. **Kuncewicz**, „literat“ i współpracownik „Dziennika polskiego“. Imieniem zakładu oświadcza, że zabity Janik nie był robotnikiem, nie był wcale ubezpieczonym, a był tylko przedsiębiorcą-akordantem. Powołuje się przytem na zeznania owego właśnie Lańcuckiego, którego obowiązkiem było Janika ubezpieczyć, a który, gdyby zeznawał inaczej, zrobiłby tem samem na siebie samego doniesienie karne. Majster blacharski Czmiel, u którego Janik był przedtem zajęty jako robotnik, słuchany jako świadek, zeznał, że zmarły był tylko robotnikiem, że nie miał żadnej koncesyi majsterskiej, że w długoletnięj swojej praktyce nie zna wypadku, by blacharz sam sobie stawiał rusztowanie, ale zastępca zakładu jedną tylko zna piosnkę: Janik był przedsiębiorcą-akordantem.

Piosnkę tę śpiewa p. Kuncewicz nawet wtedy, kiedy świadek drugi, który razem pracował z Janikiem, oświadcza, że znał go, jako robotnika i za takiego go zawsze uważał, a kiedyby się zdawało, że nie ma już wątpliwości, iż zakład zobowiązany jest zapłacić rentę, p. Kuncewicz, widocznie tylko celem przeciągania całej sprawy, domaga się przesłuchania Lańcuckiego i w tym celu odroczenia rozprawy.

Daremnie tow. dr **Diamand** wskazuje na straszną nędzę, pozostałej po Janiku rodziny, na jej straszną biedę i na to, że wdowa nawet nie ma o czem wracać do domu, ale zakład chce odroczenia, a sąd uchwala w tym duchu.

Rozlega się płacz, lament, na twarzy wdowy występuje rozpacz, występuje w całej nagości ofiara wyzysku.

I tak toczy się rozprawa za rozprawą, rzadko tylko robotnik wychodzi zwycięsko, a dziać się to będzie póty, póki zorganizowani robotnicy zarząd zakładu nie obejmą w swe ręce!

Bankructwo miast galicyjskich.

Koniec XIX i początek XX stulecia — stulecia stali i iskry elektrycznej — mógłby satyryk nazwać słusznie „epoką robienia długów“. Rozwój systemu kredytowego jeszcze nigdy nie stał na tej wyżynie, co teraz. Wszystko opiera się na kredycie; potęga państw, rozkwit przemysłu i handlu, bogactwo miast, dobrobyt milionów ludzi zniknąłby jak mara senna wraz ze zniknięciem lub ograniczeniem kredytu. Najdrobniejsze zachwianie się kredytu powoduje najstraszniejsze kataklizmy i bankructwa. Kredyt jest podstawą i ożywczą strugą krwi świata kapitalistycznego; jego istnienie nie warunkuje wprawdzie istnienia produkcyi towarowej, lecz bez kredytu rozwój jej olbrzymi nie da się wprost pomyśleć.

Na kredycie także opiera się zadziwiający wzrost miast w ostatnim wieku. Wskutek rozwoju przemysłu, rośnie zeskupienie mas ludności w miastach a w ślad zatem idzie wzrost zapotrzebowania środków pieniężnych na zaspokojenie licznych a nieodzownych potrzeb ludności miejskiej. Ponieważ zaś zwyczajne źródła dochodów miejskich żadną miarą nie wystarczają, więc musiano się chwycić kredytu, aby módz pobudować kanały i wodociągi, szpitale i szkoły, tramwaje i teatry, i zaprowadzić tysiące innych ulepszeń. Wszystko to, co powstawało nietylko dla dobra żyjących ludzi, lecz z czego będą korzystały także pokolenia przyszłe, starano się zaspokoić przy pomocy zaciągania pożyczek miejskich z długo terminowymi kredytami amortyzacyjnymi.

W ten sposób długi wielkich miast europejskich dochodzą dziś do olbrzymich sum: Paryż ma przeszło 2 miliardy franków długów, to jest 854 franków na głowę mieszkańca; miasta Anglii mają 130 milionów funtów szterlingów długów (funt szterling jest 24 koron); Berlin ma 273 miliony marek długów, to jest 158 marek na głowę; Długi miast amerykańskich oszacowano na $4^{1}/_{2}$ miliarda dolarów. Najmniej obciążone są miasta Rosyi: na Petersburg przypada wszystkiego $11^{1}/_{2}$rubla, a na Rygę $19^{1}/_{2}$ rubla na głowę. Warszawa miała dotychczas według budżetu na rok 1903, długów 16,145.700 rubli, co przy ludności 750.000 mieszkańców wynosi 21 rubli na głowę. Obecnie przystępuje Warszawa do budowy rzeźni głównej, trzeciego mostu na Wiśle, urządzeń elektrycznych, kanalizacyi Powiśla i Pragi i t. p. w tym celu zaciągnięto nową pożyczkę 33,450.000 rubli. Odtąd na głowę mieszkańca przypada 44 ruble długów miejskich.

Ale wszystkie te miasta są bogate, mają rozwinięty przemysł i handel, mają przyszłość przed sobą, a więc i pewną nadzieję spłacenia długów, zaciągniętych na rzeczy pożyteczne i konieczne. Zresztą amortyzacya owych długów jest po większej części tak obmyślaną, ażeby najpóźniej już następne pokolenie miało ręce wolne i mogło ewentualnie przystąpić do dalszych ulepszeń na wielką skalę. Najnowsza pożyczka miasta Warszawy ma być spłaconą w ciągu 67 lat; zwykle jednak termin ten bywa jeszcze znacznie krótszy. — Inaczej dzieje się w Galicyi.

U nas wszystkie niemal bez wyjątku miasta gospodarują bez rachunku i opanowane one zostały jakby szałem jakimś robienia długów, a ten pęd do nakładania dotkliwych ciężarów na przyszłe pokolenia, pod których brzemieniem zginać się one będą dziesiątki lat, przybiera iście zatrważające rozmiary. Obok tego spostrzegać się daje w zarządach gminnych nieposzanowanie dobra gminnego i lekkomyślne, wprost karygodne trwonienie go. Nie są to zjawiska lokalne, wyjątkowe, ale znamionują one poniekąd system, który coraz bardziej się utrwala, a niebezpieczeństwo, grożące skutkiem tego, staje się z każdym rokiem większe.

Przed laty kilkunastu jeszcze należał Lwów do najbogatszych miast w państwie i nie miał prawie żadnych długów. Później jednak zaczęto robić długi jeden po drugim i z miasta bogatego i rządnego, zrobiono jedno z najbardziej zadłużonych miast. Pożyczono najprzód 20 mil. koron w $4^{0}/_{0}$ obligacyach, uporano się z nimi rychło i dopożyczono jeszcze $6^{1}/_{2}$ miliona w $4^{1}/_{2}{}^{0}/_{0}$ obligach. I te pieniądze wydano co do grosza, a ponieważ nie miano już upoważnienia na wypuszczenie większej ilości obligów miejskich, a pieniędzy jeszcze potrzebowano, przeto zaczęto robić inne długi, pożyczono milion w Kasie oszczędności, 1,200.000 w funduszu propinacyjnym, milion u rządu i jeszcze inne, pomniejsze długi zaciągnięto. Dziś ma Lwów przeszło 30 mil. kor. długów.

W miastach prowincyonalnych galicyjskich gospodarka urąga kardynalnym pojęciom zdrowej administracyi. Niedobory budżetów gminnych pokrywane bywają pożyczkami, występuje na jaw chęć robienia lekkomyślnych i niepotrzebnych inwestycyj, dla których niema najmniejszych warunków powodzenia. I podczas gdy wszyscy myślą tylko o zaciąganiu nowych długów i nakładaniu na ludność miast nowych ciężarów, to o tem, żeby ten majątek, jaki miasta posiadają, był dobrze administrowany i przynosił możliwie największy dochód, nikt nie myśli. Przeciwnie, wpływowi radni starają się właśnie zaprzepaścić majątki gminne, co już w wielu wypadkach było powodem rozwiązania rad gminnych i ustanowienia komisarzy rządowych. Propinacya, kamieniołomy, pastwiska i lasy gminne, eksploatowane są w sposób niesumienny przez wpływowych radnych i ich adherentów. Przypominamy historyę propinacyi w Przemyślu, Tarnowie, Gorlicach, Starym Samborze, o czem dopiero przed kilku dniami pisaliśmy w rubryce „Z sali sądowej“. W Trembowli np. kamieniołomy gminne wydzierżawione były podstawionym przez kilku wpływowych radnych figurantom za bagatelną kwotę kilkuset koron, podczas gdy niestety dopiero komisarz rządowy potrafił uzyskać z nich dla miasta dochód dziesięć razy większy. Takich wypadków możnaby wiele przytoczyć.

W wielu miastach wpływowi radni, chcąc zapewnić sobie mandat radziecki na przyszłą kadencyę, jednają sobie wyborców już to przez wydzierżawianie lub nawet sprzedawanie im za bezcen dobra gminnego, już to przez stwarzanie posad dla nich, lub dla ich familiantów. Jedno z większych miast we wschodniej Galicyi, miasto T., mające już $1^{1}/_{2}$ miliona długu i ściągające od swych mieszkańców $45^{0}/_{0}$ dodatków do podatków na potrzeby gminne, zatrudnia armię rozmaitych funkcyonaryuszy, złożoną ze 152 ludzi, którzy zjadają połowę wszystkich dochodów gminnych. W pewnem miasteczku radni poustanawiali sobie pensye, chociaż to wyraźnie sprzeciwia się ustawie. Również wbrew ustawie dzierżawią tam radni za bezcen majątki gminne, jeden z radnych jest kontrolorem kasy miejskiej, drugi ekonomem lasów gminnych, trzeci i czwarty spełniają innego rodzaju płatne funkcye. Miasteczko B. należało do bardzo bogatych i jeżeli gdzie, to tam powinny dodatki gminne być bardzo niskie, gdyż gmina ma rozległe lasy, pastwiska, propinacyę i prawo polowania. Tymczasem radni przetrzebili gruntownie lasy i zniszczyli zupełnie majątek gminny. Prawo polowania, za które ofiarowano gminie 2000 koron, wydzierżawiła rada bezprawnie podstawionym przez kilku radnych osobom za 1200 koron, pastwisko gminne rozdrapano, a na gruntach gminnych pozwolono prywatnym osobom pobudować się.

Oto pobieżna tylko, ale wystarczająca charekterystyka gospodarki w miastach galicyjskich.

Gospodarka ta, polegająca na trwonieniu grosza publicznego, zaciąganiu długów bez widoków i możności ich spłacenia, musi doprowadzać do bankructwa.

Mimo to, że miasta po uszy w długach, nie widać jednak wcale, by **pieniądze te na jakieś pożyteczne, kulturalne obracano cele**. Niema w nich mowy o domach robotniczych, łaźniach ludowych, domach przytułku, a szkoły i szpitale niżej krytyki itd. Pieniądze pożyczane toną, nie przynosząc miastu żadnych korzyści.

Nie należy przytem zapominać, kto rządzi w miastach i miasteczkach galicyjskich. Oto kliczki **starościńsko-propinacyjno-kahalne**, które mandaty radzieckie zdobywają najniegodniejszymi środkami, zapomocą teroryzowania mieszczaństwa i korupcyi wyborczej.

Kliczki te rządzą groszem publicznym bez względu na interes ogółu obywateli, **bez żadnej kontroli publicznej**, gdyż ogromna większość mieszkańców, skutkiem niesprawiedliwej ordynacyi wyborczej, od udziału w rządach miasta zupełnie jest wykluczoną.

I jeżeli gospodarka w miastach galicyjskich ma przynosić rzeczywiste dla miast korzyści, to należy przedewszystkiem położyć koniec pokątnym rządom klik, dopuścić do kontroli i udziału w rządach wszystkich mieszkańców miasta — a to możliwem jest tylko przez zaprowadzenie **powszechnego i równego prawa głosowania do rad gminnych**.

Angielska burżuazya przeciw stowarzyszeniom zawodowym.

W Anglii już od roku toczy się wielki proces sądowy, rzucający jaskrawe światło na tamtejsze stosunki społeczne. Stroną oskarżającą są 74 towarzystwa akcyjne, posiadające w Walii południowej około 200 kopalń węgla, w których pracuje przeszło 100.000

---

ogólna monotonia i nuda i jemu się udzieliły. Z bezmyślnym szacunkiem spoglądał na mundury urzędników, na znużone twarze przysięgłych i spokojnie mrugał oczyma. Skład sądu i procedura, oczekiwanie której tak męczyło mu duszę podczas pobytu w więzieniu, teraz podziałały nań najkompletniej uspakajająco. Zobaczył tu zupełnie nie to, czego się spodziewał. Przygniatało go oskarżenie o zabójstwo, tutaj zaś nie spotkał ani groźnych twarzy, ani chmurnych spojrzeń, ani głośnych nawoływań do zemsty, ani nawet współczucia dla swego niezwykłego losu; ani jeden z sędziów nie popatrzył nań długo, ciekawie, badawczo... Ponure okna, ściany, głos sekretarza, poza prokuratora — wszystko to pełne było kancelaryjnej obojętności i chłodu, tak, jak gdyby zabójca był poprostu jakimś sprzętem kancelaryjnym i jak gdyby sądzili go nie żywi ludzie, lecz jakaś niewidzialna, Bóg wie, przez kogo nakręcona maszynka.

Uspokojony chłop nie pojmował, że do życiowych dramatów i tragedyj tak samo tu wszyscy przywykli, jak w szpitalu do śmierci, i że właśnie w tej obojętności maszyny kryje się to straszliwe „bez wyjścia“. Gdyby nawet nie siedział tak spokojnie, gdyby się kajał gorzko, gdyby nawet umarł z rozpaczy, — wszystko to odbiłoby się od stępionych nerwów i od tego przyzwyczajenia tak, jak fala odbija się od skały.

Kiedy sekretarz już skończył, przewodniczący pogładził stół przed sobą, długo przyglądał się podsądnemu, mrużąc oczy, aż wreszcie spytał leniwie:

— Czy podsądny przyznaje się do spełnienia zbrodni morderstwa, dokonanego na żonie swojej dnia 9 czerwca wieczorem?

— Nie, — odpowiedział podsądny, wstając i przytrzymując chałat *).

W chwilę potem sąd spiesznie przystąpił do przesłuchania świadków. Przesłuchano dwie baby, pięciu chłopów i wiejskiego komisarza policyi, t. zw. w Rosyi „uriadnika“, który prowadził śledztwo. Wszyscy oni, obryzgani błotem, zmęczeni długą wędrówką pieszą i wyczekiwaniem w pokoju świadków, przygnębieni i chmurni, powiedzieli jedno i tożsamo. Zeznali mianowicie, że Charłamow żył ze swoją starą „dobrze“, jak wszyscy: bił ją tylko wtedy, kiedy się upijał. Dnia 9 czerwca po zachodzie słońca znaleziono nieboszczkę w sieni z rozciętą czaszką; obok niej w kałuży krwi leżała porzucona siekiera. Poczęto szukać Mikołaja, aby go zawiadomić o nieszczęściu, nie było go jednak ani w chacie, ani na drodze. Szukano go po całej wsi, we wszystkich karczmach i chałupach, nie znaleziono jednak. Znikł i dopiero po dwóch dniach zjawił się sam w kantorze, blady, obszarpany, drżąc na całem ciele. Związano go i wsadzono do „zimnej“.

— Podsądny, — zwrócił się przewodniczący do Charłamowa, — czy możecie powiedzieć sądowi, gdzie znajdowaliście się w ciągu tych dwu dni po zabójstwie?

— Po polu chodziłem... nie jedząc, nie pijąc...

*) Coś w rodzaju najprymitywniejszego szlafroka — ubiór więźniów.

— Pocóżeście się chowali, jeśliście to nie wy zabili?

— Przestraszyłem się... Bałem się, że mnie zasądzą...

— Aha... dobrze, siadajcie!

— Ostatniego przesłuchiwano lekarza powiatowego, który robił sekcyę nieboszczki. Zeznał on sądowi wszystko, co przypomnieć sobie mógł z protokółu sekcyi i co zdążył wymyślić, idąc rano do sądu. Przewodniczący mrużył oczy, patrząc na jego nowe, czarne, lśniące spodnie, na fircykowaty krawat, na poruszające się wargi i w głowie mu się powoli, leniwie, tak jakoś sama ze siebie przewijała myśl: „Teraz wszyscy chodzą w krótkich surdutach, czemuż on sobie kazał zrobić długi? Dlaczego właśnie długi a nie krótki?“

Poza przewodniczącym dało się słyszeć ciche skrzypienie butów. To towarzysz prokuratora podszedł do stołu po jakiś papier.

— Michale Władymirowiczu, — schylił się prokurator do ucha przewodniczącego, — dziwnie niedbale prowadził śledztwo ten Korejskij. Rodzony brat nie przesłuchany, starosta *) nie przesłuchany, z opisu chałupy nic zrozumieć nie można...

— Co robić... co robić! — westchnął przewodniczący, rozpierając się na fotelu.

— Aha, prawda! — szeptał w dalszym ciągu towarzysz prokuratora, — niech pan zauważy: tam u publiczności, na pierwszej ławce, trzeci po prawej... aktor z wyglądu...

*) Rodzaj naszego wójta.

To tutejsza gruba ryba. Ma około pięciu kroć stu tysięcy kapitału w gotówce.

— Tak? Nie wygląda na takiego... a co, mój złoty, nie zrobilibyśmy pauzy?

— Może po śledztwie...

— Jak pan uważa... No? — zwrócił się przewodniczący do doktora, — więc pan znajduje, że śmierć była natychmiastowa?

— Tak, wskutek znacznego uszkodzenia masy mózgowej...

Po przemówieniu lekarza, przewodniczący popatrzył w przestrzeń między prokuratorem a obrońcą i zaproponował:

— Nie chce pan o nic zapytać?

Towarzysz prokuratora, nie odrywając oczu od „Kaina“, kiwnął głową przecząco, obrońca zaś nagle poruszył się i, kaszlnąwszy, spytał:

— Może mi pan powie, doktorze, czy z rozmiarów rany można wnioskować o... o stanie psychicznym przestępcy? To jest, chcę pana zapytać, czy wielkość uszkodzenia pozwala sądzić, że podsądny znajdował się w stanie pobudzenia nerwowego?

Przewodniczący podniósł senne, obojętne oczy na obrońcę. Prokurator porzucił na chwilę „Kaina“ i popatrzył na przewodniczącego. Popatrzyli tylko — twarze ich nie mówiły nic, nie było na nich ani uśmiechu, ani zdziwienia, ani tego pół-zdumienia, poł-niezrozumienia, którego określić nie sposób.

— No, tak — bąkał doktor — jeśli zwrócimy uwagę na siłę, jakiej... e-e-e... przestępca użył... Zresztą... daruje pan, nie zrozumiałem jakoś dokładnie zapytania...

Obrońca nie otrzymał odpowiedzi, o którą mu zresztą nie chodziło tak bardzo.

robotników; pozwanym przez sąd jest związek zawodowy (trade-union) południowo-walijskich górników w osobie swoich kierowników i funkcyonaryuszy; rozchodzi się zaś o 100.000 funtów szterlingów (przeszło dwa miliony koron) odszkodowania, których domagają się przedsiębiorstwa od związku robotniczego za zarządzenie pięciodniowego bezrobocia.

Okoliczności, które się złożyły na ten kolosalny proces są następujące. W ostatnich 25 latach płace robocze w Walii regulowano wedle ruchomej skali, tj. wzrostowi lub opadaniu cen odpowiadał wzrost lub opadanie płac. W ten sposób robotnicy nie mniej od przedsiębiorców zainteresowani byli w zapobieganiu zniżce cen. Natomiast kupcy węglowi i rozmaici pośrednicy, zajmujący się eksportem węgla, stanowili pod tym względem obóz przeciwny. Ponieważ jednak dawniej górnicy południowo-walijscy nie byli zorganizowani, więc pomimo pozornej zgodności niektórych interesów, kapitaliści w okropny sposób wyzyskiwali swoich robotników, obchodząc się z nimi źle i przedłużając dzień roboczy do niemożliwych granic. W r. 1898 wybuchł przeto powszechny strejk, trwający 5 miesięcy, lecz zakończył się kompletną przegraną górników. Dotkliwy ten cios popchnął robotników do utworzenia silnej organizacyi górniczej, która przyłączyła się do powszechnego angielskiego związku górników. Wzrastanie tej organizacyi przybrało imponujące rozmiary, bo już w 1890 r. liczyła ona w swoich szeregach prawie wszystkich południowo-walijskich górników i miała majątku przeszło 100.000 funtów. Dzięki temu możliwem się stało powołanie do życia komisyi, złożonej z przedstawicieli tak kapitalistów, jak robotników, dla ciągłego regulowania skali ruchomej. Gdy usiłowania kupców węglowych zmierzały do silnego zniżenia cen, to w r. 1900 zarząd związku górniczego zarządził — w celu zapobieżenia temu — jednodniowe bezrobocie, a kapitaliści uznali w tem dobrą wiarę i zrzekli się wszelkich pretensyi. Ale kiedy przeszło rok temu postanowiono nie pracować przez pięć dni, mając takiż cel na oku, to przedsiębiorcy postąpili już inaczej, chociaż tym razem bezrobocie zainicyowane było przez kierowników robotniczych, jako członków komisyi, regulującej skalę cen i zarobków.

Ta zmiana w usposobieniu południowo-walijskich kapitalistów jest wielce charakterystyczną dla ostatnich lat. Dopóki tradesuniony angielskie w swojej walce ekonomicznej stały na gruncie pokojowym i licząc się z interesami samych przedsiębiorców, jak z własnymi. starały się drogą prywatnych umów i układów z fabrykantami zdobywać sobie polepszenie warunków pracy, to samym kapitalistom zależało na utrzymywaniu zgodnych stosunków z coraz potężniejszemi organizacyami robotniczemi. Rzadziej też, niż mogli to czynić, korzystali przedsiębiorcy z obowiązujących w państwie praw o strejkach, zwłaszcza po zniesieniu w r. 1875 zasady o t. zw. „konspiracy", wedle której każde zbiorowe wystąpienie robotników, a zwłaszcza strejki, traktowane były jako wykroczenie przeciw prawu karnemu i karane być mogły więzieniem.

Te pozornie zgodne stosunki burżuazyi i robotników wypływały z panującego w świecie stanowiska przemysłu angielskiego. Ale odkąd skutkiem szalonej konkurencyi na rynkach obcokrajowych przemysł ten zaczął słabnąć, burżuazya angielska raptem zmieniła swój nastrój. Zachciało jej się odbić zmniejszone zyski na robotnikach, odmawiając jakichkolwiek ustępstw; że jednak nie było już pod ręką dawnych okrutnych praw karnych o strejkach, więc ucieczkę znaleziono w zasadzie prawa cywilnego, że ten, kto innemu swymi postępkami szkodę przynosi, powinien go za tę szkodę pieniężnie wynagrodzić. Sielanka się skończyła. Opinia burżuazyjna z całym impetem rzuciła się na trade-uniony, a te coraz potężniejsze i bogatsze podjęły rzuconą rękawicę i zaczęły z większą świadomością polityczną i klasową prowadzić swoją walkę.

Najgłośniejszy epizod walki społeczej w Anglii w tej nowej fazie stanowiła głośna w r. 1901 sprawa, rozstrzygnięta przez sąd najwyższy izby lordów na korzyść kapitalistów. Proces toczył się między „Taff Vale Railway Company" (droga żelazna do doliny Taff). Robotnicy tej kolei strejkowali za zgodą zarządu swego trades-unionu pod jego kierownictwem i przy jego pomocy. Skutkiem tego kolej wytoczyła związkowi robotniczemu proces o odszkodowanie. Sąd lordów jako ostatnia instancya uznał, że czyn robotników nie był wykroczeniem przeciw prawom, przychylił się jednak do skargi kapitalistów i przyznał im żądane odszkodowanie.

Licząc na ten precedens (a wiadomo, że w Anglii wyroki sądów mają prawie doniosłość ustaw) i ufni w przeciwrobotniczy nastrój sędziów burżuazyjnych, wspomniane wyżej 74 towarzystwa akcyjne zwróciły się zeszłego roku do sądu, ale tym razem w pierwszej instancyi znalazł się niezbyt kapitalistycznie usposobiony sędzia Bigham, który uniewinnił związek robotniczy, przyczem wyrok swój umotywował wielce postępowymi względami socyalno-politycznymi. Wtedy kapitaliści zwrócili się do sądu apelacyjnego, który okazał się godnym burżuazyjnych oskarzycieli, zniósł wyrok pierwszej instancyi i skazał trades-union na zapłacenie 100,000 funtów szterlingów. Upozorowany został ten okropny wyrok „zerwaniem umowy", gdyż motyw taki jest koniecznie wymagany przez prawo cywilne dla przyznania odszkodowania. Ponieważ jednak faktycznie tym razem (jeżeli nawet rzecz brać nie ze stanowiska socyalno-politycznego, lecz czysto prawnego) takiego zerwania nie było, gdyż bezrobocie nakazane było przez komisyę cen i płac, więc związek górników skierował sprawę do najwyższej instancyi, t. j. do izby lordów.

Przegląd polityczny.

Nowa akcya klerykalna na Śląsku Górnym. W Gliwicach na Górnym Śląsku założone zostało „Towarzystwo ludowe dla katolików na Śląsku". Powstało ono z inicyatywy ks. Skowrońskiego z Ligoty, którego wszystkie najreakcyjniejsze pod względem politycznym gazety, począwszy od petersburskiego „Kraju", a kończąc na lwowskiej „Gazecie Narodowej" nazywają „zacnym" i „uczciwie myślącym".

Nowa ta afera polityczna wydaje nam się rozpaczliwą próbą „katolikowców" w celu uratowania na Górnym Śląsku stanowiska centrum, które podczas ostatnich wyborów doświadczyło na sobie wszystek ogrom nagromadzonej w ciemnych jeszcze i nieuświadomionych masach niechęci, a nawet nienawiści do germanizującej i ogłupiającej lud polski polityki rządowo-katolickiej. Autorowie wydanej dopiero co odezwy, która jest pierwszym czynem świeżo powstałego towarzystwa politycznego, doskonale rozumieją, że wpływ polskiej prasy centrowej, dzięki nowym prądom narodowym i społecznym na Śląsku, coraz prędzej topnieje. Stąd ich kampania przeciw redaktorom, jedynym dotychczasowym przywódcom ludu. W rzeczywistości jest to kontragitacya nie przeciw redaktorom pokrewnych co do ducha gazet, ale przeciw wzmagającej się prasie ludowej antycentrowej. Ta bowiem coraz lepiej poznaje się na istotnym charakterze kleru górnośląskiego, całą duszą zaprzedanego pruskiej polityce wynaradawiania.

Nic tedy innego, jak zagrażające duchowieństwu bankructwo polityczne, ściągnęło na zainicyowane przez ks. Skowrońskiego przedwstępne obrady nad założeniem nowego towarzystwa aż 36 proboszczów.

Ale przyjrzyjmy się wydanej odezwie, która zaczyna się od przypomnienia sobie dawno przebrzmiałej sielanki, kiedy to „lud polski nie opuścił w walce kulturalnej duchowieństwa itd." Podkreśliwszy, że „Towarzystwo ludowe" staje na straży skarbów religijnych, zakapturzeni germanizatorzy w całym szeregu punktów, z podejrzaną skwapliwością wypierają się wspólności z hakatyzmem i z komiczną w swojej naiwności obłudą, muszą z biciem się w piersi „uznawać", że lud polski na Śląsku jest polskim, że posłowie polscy mogą się na coś przydać, że oświata jest potrzebna i t. d. Następnie zaczyna się przyjazne kokietowanie narodowych demokratów, co do których wyrażają nadzieję, że prędzej czy później zrozumieją, iż dla zbawiennego rozwoju stosunków górnośląskich, należy iść ramię przy ramieniu z katolickiem centrum. Głównym motywem tych bogobojnych rad i nawoływań jest grożące ludowi polskiemu „niebezpieczeństwo" ze strony socyalizmu. Z całym impetem atakują księża i ich poplecznicy socyalną demokracyę, śmiąc jej zarzucać zdeprawowanie mas robotniczych, a nawet... germanizowanie. Wysługujący się pruskiemu rządowi pachołkowie w sutannach, przedewszystkiem broniący interesów hakatystycznych kapitalistów górnośląskich i oddający nieocenione usługi najcyniczniejszym urzędnikom pruskim w znęcaniu się nad ludem polskim, ośmielają się kalumnię rzucać na stronnictwo, które nie dość, że jedynie rzetelnie stoi na straży dobrobytu ekonomicznego i godności obywatelskiej tego ludu, budząc go do walki o lepszą przyszłość, ale które zarazem jedno, nawet nie popierane należycie przez posłów „polskich", bezustannie zwalcza germanizatorską politykę rządu.

Ale robotnicy górnośląscy już nie pójdą więcej na lep kłamliwych słów. Ostatnie wybory pokazały, jak wzmaga się wśród nich świadomość klasowa. A i obóz wszechpolski jest tylko etapem przejściowym dla tamtejszych mas robotniczych, które niechybnie się skupią pod czerwonym sztandarem.

Obywatele! Robotnicy!

W niedzielę dnia 30 sierpnia odbędzie się

w podwórzu magistratu

(przy placu Franciszkańskim)

WIELKIE ZGROMADZENIE LUDOWE

z następującym porządkiem dziennym:

Sytuacya polityczna i ekonomiczna w Austryi a powszechne prawo głosowania.

Początek zgromadzenia o godz. 1/2 11 rano.

Po zgromadzeniu wyruszy pochód z sztandarem i tablicami z dziedzińca ratuszowego przez Plac WW. ŚS. na ulicę Grodzką, stąd przejdzie w Rynek, a następnie na ulicę Sienną i zakończy się przed Związkiem Stowarzyszeń robotniczych na Małym Rynku.

Komitet partyi socyalno-demokratycznej.

Dnia 1 września b. r. wyjdzie z druku:

„LATARNIA"

Misye socyalistyczne dla ludu roboczego.

Nr. 7. **WRZESIEŃ 1903.** Rok III.

Emancypacya kobiet.

Napisała dr Felicya Nossig.

Cena 3 ct. (6 h) — **z przesyłką 4 ct.** (8 h).

Zamawiać należy już teraz w administracyi „Latarni", Kraków, Sławkowska 29.

KRONIKA.

Kalendarzyk historyczny. 30 sierpnia. 1738. David, sławny malarz, członek rewolucyjnego Konwentu, urodził się. — 1857. Śmierć Jana Rossa, podróżnika do bieguna północnego. — 1890. Kongres Trades-Unionów dla ustawy 8-godzinnego dnia roboczego. — 1901. Demonstracya 15.000 robotników bez pracy w Wiedniu.

Teatr miejski w Krakowie.

Niedziela: „Krzyżacy", obraz historyczny w 12 odsłonach przez H. Sienkiewicza przerobił na scenę A. Walewski (po raz 20).

Poniedziałek: „Rewizor z Petersburga", komedya w 5 aktach N. Gogola.

Wtorek: „Zaczarowane koło", baśń dramatyczna w 5 aktach L. Rydla.

Środa: „Oj! Kobiety! Kobiety!", komedya w 3 akt. Ph. Dumanoir'a.

Czwartek: „Bolesław Śmiały", dramat w 3 aktach St. Wyspiańskiego.

Piątek: Teatr zamknięty.

Sobota: „Konfederaci Barscy", dramat w 2 aktach Adama Mickiewicza. „Warszawianka", pieśń z roku 1831, napisał St. Wyspiański.

Niedziela: „Kościuszko pod Racławicami", obraz hist. w 7 odsłonach nap. A. W. Lasota.

Poniedziałek: „Konfederaci Barscy". — „Warszawianka".

Wtorek: „Obrona Częstochowy", dramat histor. w 5 aktach, 7 odsł. z prologiem Juliana z Poradowa.

„Głos narodu" krusząc kopię w obronie pp. Markusa i Sulikowskiego, którzy swym niedozorem patronowali defraudacyi, wynalazł straszaka w formie lichwiarzy żydowskich, którym wszelka krytyka wobec pp. Markusów, Sulikowskich i tow. ma jakoby napędzać połów w postaci odprzedawanych ze bezcen książeczek wkładkowych Towarzystwa.

Gdyśmy odsłonili to podejrzane usiłowanie „Głosu" stłumienia za pomocą takich historyjek wszelkiej dyskusyi, niemiłej dla skompromitowanych „figur" z rady nadzorczej, zajęło się pisemko, godnie piastujące tradycye ehrenbergowskie, fabrykowaniem dowodów na swoje usprawiedliwienie. Więc w piątkowym numerze podaje opis jakichś homerycznych zapasów, które jego redaktorzy (naturalnie przy pomocy nożyczek) staczać musieli z tłumem owych lichwiarzy, oblegającym lokal redakcyjny...

W sobotnim numerze zaś dla odmiany nie grzmi ton surm bojowych, lecz pojawia się zapewnienie, iż owi lichwiarze sami opowiadają o swoich operacyach, co świadczyłoby, iż pomiędzy jedynie wiedzącym o tem „Głosem narodu" a armią oblegającą jego redakcyę przyszło do pokojowego porozumienia, zakończonego wzajemną konfidencyą...

Porzuciwszy jednak awantury arabskie, opowiadane przez „Głos narodu", podkreślamy jeszcze raz, iż są one najwidoczniej fabrykowane celowo, aby odciągnąć uwagę łatwowiernych, od szwindlów w samej kasie spełnionych i zatuszować operacye, dokonywane przez pp. Markusa i Sulikowskiego na kieszeniach właścicieli wkładek.

Od rzemyka, do konika, mówi przysłowie. „Głos narodu", skompromitowany w sprawie Chramca, puścił się na „ryzykowniejszy" proceder...

Górnicy salinarni w Wieliczce uskarżają się na prawdziwą niewolę, jaka panuje w rządowych salinach w Wieliczce i Bochni. Zarząd salinarny w Wieliczce na przykład surowo zabronił górnikom czytania „Naprzodu" i zapowiedział, że każdego, kto się nie zastosuje do tego zakazu, natychmiast wydali z pracy. Czas byłby, aby górnicy w Wieliczce pomyśleli także o zorganizowaniu się i obronie swych praw obywatelskich i godności ludzkiej.

Zakaz zaś zarządu salin, pomijając jego bezcelowość, nie przysporzy wcale zarządowi powagi i zaufania w oczach górników.

Walka o Kasę chorych. Z Jarosławia piszą nam: Od zwycięskich wyborów do tut. Kasy chorych upłynęło już 6 tygodni i byliśmy pewni, że starostwo rozpisze w tych dniach termin na walne zgromadzenie delegatów, celem wyboru zarządu. Aż oto dowiadujemy się, że znowu wpłynął protest, wniesiony przez 3 analfabetów, z czego łatwo wnioskować, że z treścią protestu nie byli obznajomieni i że pewnie za położenie swoich znaków ręki na proteście, musieli być porządnie „podsmarowani" przez tych, których przeraża zwycięstwo robotników. Ale na szczęście został ten protest po niewczasie wniesiony, skutkiem czego musi go starostwo odmownie załatwić.

Tymczasem zaciera ręce osławiony macher kliki propinacyjno-kahalnej Irgang i cieszy się, że robotnicy „przecież" nie będą w stanie opanować Kasy chorych. Odgraża się, że teraz dopiero podejmie „walkę" z socyalistami, wystara się o „wyszupasowanie" ich z Jarosławia i że pociągnie do odpowiedzialności sądowej tow. Żołnierza, który go nazwał publicznie pijakiem. Bylibyśmy bardzo radzi, gdyby Irgang wystąpił ze skargą, a wtedy mielibyśmy sposobność wykazać mu, że jest nietylko nałogowym pijakiem, ale także łapownikiem i amatorem cudzej własności.

Przy sposobności wspomnieć należy o największym korupcyoniście, dotychczasowym dyrektorze Kasy Brühlu, który, jak wiadomo, „zachorował" zaraz po przejściu listy delegatów socyalistycznych podczas wyborów do Kasy, odbytych dnia 16 lipca br. Do dziś dnia jest on jeszcze „chory", a w jakiem stadyum jego „beznadziejna

---

dokładnie, że pytanie to utkwiło mu w głowie i wymknęło się — tak jakoś — pod wpływem ciszy, nudy i brzęku wentylatora.

Wkrótce po zwolnieniu doktora sąd począł przeglądać dowody rzeczowe. Obejrzano naprzód kaftan, gdzie na rękawie znajdowała się brunatna plama z krwi. Pochodzenie jej zapytany Charłamow wytłumaczył w sposób następujący:

— Na trzy dni przed śmiercią starej, Pieńkow krew puszczał koniowi... Byłem tam, no i pomagałem, rozumie się, i... i umazałem się...

— Jednak Pieńkow dopiero co zeznał, że nie pamięta, jakobyście byli obecni przy tem puszczaniu krwi...

— Nie wiem...

— Siadajcie.

Poczęto oglądać siekierę, użytą do spełnienia morderstwa.

— To nie moja siekiera.

— Czyjaż?

— Nie wiem... Ja nie miałem siekiery...

— Przecież chłop przez chwilę nawet nie może się obejść bez siekiery. Sąsiad wasz zresztą, Iwan Timofeicz, który razem z wami naprawiał sanie, zeznał, że to jest wasza siekiera...

— No, nie wiem, ale jak Panu Bogu na świętej spowiedzi... (Charłamow wyciągnął rękę przed siebie i rozczapierzył palce). Jak samemu Panu Bogu... Nawet nie pamiętam, kiedym miał własną siekierę. Miałem kiedyś taką samą, a-e... może była trochę mniejsza, to... to ją syn zgubił, Prochor. Na dwa lata przed służbą, pojechał po drzewo, zabawił się z dzieciakami i zgubił.

— Dobrze, siadajcie.

To systematyczne niedowierzanie i niechęć słuchania rozdraźniły i obraziły prawdopodobnie Charłamowa. Oczy mu zamigotały, na policzkach wystąpiły czerwone plamy.

— Jak na sądzie ostatecznym! — mówił dalej, wyciągając szyję. — Jeśli mi sąd nie wierzy, to proszę zapytać syna Prochora. Proszka, gdzie siekiera? — spytał nagle basem, szybko zwróciwszy się do żołnierza. — Co?

Była to chwila ciężka! Wszyscy, zdało się, zmaleli... we wszystkich głowach, ile ich było w sądzie, jak błyskawica zamigotała myśl straszna, nie dająca się wprost ogarnąć, i nikt literalnie nie odważył się, nie śmiał spojrzeć na twarz żołnierza. Nikt nie chciał uwierzyć tej myśli, wolał przypuszczać, że się przesłyszał.

— Czy podsądny wie, że rozmowa ze strażą jest najsurowiej wzbroniona? — rzucił spiesznie przewodniczący.

Nikt nie dojrzał twarzy konwojowego i strach przeleciał po sali cicho, jakby w czapce niewidce. Strażnik sądowy wstał pocichu i wyszedł z sali na palcach. W chwilę potem posłyszano głuche kroki i dźwięki, jakie bywają zwykle przy zmianie straży. Wszyscy podnieśli głowy i starając się patrzeć tak, jak gdyby nic nie zaszło, pracowali w dalszym ciągu...

Przełożył Stanisław Poraj.

choroba“ się znajduje, może poinformować ciekawych policya tutejsza, zmuszona przed kilku dniami wziąć w obronę służącą Brühla, którą tenże w straszny sposób pobił, pieniędzy nie wypłacił, wyrzucił i książkę służbową zatrzymał.

Ten sam los spotkał także i drugą służącą, przyjętą w miejsce poprzedniej, a która po jednodniowym pobycie u Brühla, również pomocy policyi szukała.

Z tajemnic koszarowych. Z Łańcuta piszą nam: W nocy z 28 na 29 lipca powiesił się tu dragon 6 szwadronu, nazwiskiem Russ. Powiesił się na słupie w stajni; kiedy go tam znaleziono, był już trupem. W 5 szwadronie, 1 „cugu“ załogi łańcuckiej jest cugsführer Wysoki, który w straszny wprost sposób obchodzi się z żołnierzami. W ostatnim czasie zbił żołnierza Lincześcha tak, iż musiano go odwieść do szpitala; ma złamane dwa żebra.

Z Jarosławia donoszą nam: Ofiarą sportu fotograficznego, w jaki zabawił się kapitan 4 bateryi, 29 dywizyi artyleryi polnej Haper padł żołnierz tej bateryi Flak. Gdy wspomniana bateryą szykowała się do ćwiczeń pieszych, zarządził kapitan Haper nagle alarm. Żołnierze rozbiegli się w mgnieniu oka do stajen, aby osiodłać i zaprzęgnąć konie do armat; powstało zamięszanie, przestraszone konie rzucały się i wierzgały, a jeden z nich kopnął z taką siłą Flaka w twarz, że mu przełamał lewą szczękę i wybił prawie wszystkie zęby. Strasznem musiało być kopnięcie, skoro Flak natychmiast zemdlał, a nosem i uszami buchła mu krew.

P. kapitan Haper manipulował zaś podczas tego przy aparacie fotograficznym, aby sporządzić dla siebie zdjęcie zaalarmowanej bateryi. Bezprzytomnego, krwią oblanego Flaka odstawiono do szpitala wojskowego, gdzie dotychczas leży niebezpiecznie chory i niema nadziei utrzymania go przy życiu.

Otrucie grzybami. Do pism lwowskich donoszą: Rodzina Ludwika Pakoszewskiego, agenta Tow. „Gizela“, złożona z rodziców, 6 małoletnich dzieci i staruszki babki walczy ze śmiercią wskutek zatrucia jadowitymi grzybami. Wczoraj zmarł 12-letni synek i 4-letnia córeczka Pakoszewskich wyniesieni na marach w obliczu rodziców.

Spowodował nierozważnie nieszczęście sam ojciec nazbierawszy grzybów, z których matka przygotowała zupę. Chorych ma w swej opiece dr Sołtysik, oraz dr Schapira nieodstępujący łoża nieszczęśliwych. Na pierwszą wiadomość o wypadku udał się do szpitala, między innymi sędzia p. Nikisch.

Wojna w czasie pokoju. Gracka „Arbeiterwille“ donosi: „Zaszedł tu wypadek, przypominający żywo katastrofę pod Bilek. Oto onegdaj wyruszył 7 pułk piechoty o 5 rano z napełnionymi tornistrami i odbył bez odpoczynku cztero-godzinną drogę do miejscowości Nestelbach. Tam zarządzono 20-minutowy odpoczynek. Żołnierzom zmęczonym niezmiernie uciążliwą, wśród kurzu i upału odbytą drogą nie pozwolił kapitan Ertl kupić sobie wody sodowej ani wina. Po 20 minutach ruszono znowu w drogę, po dwugodzinnym marszu nastąpiła 5-minutowa przerwa, poczem dalszy powrót, aż o godzinie 3 po południu zdążono do koszar. Dziewięć i pół zatem godzin marszu z przerwą 30-minutową odbyli biedni żołnierze nie jedząc ani nie pijąc przez cały czas, (a wyszli o czarnej kawie) wśród żaru słońca z napełnionymi tornistrami i z karabinami. Skutkiem tego wysilającego marszu omdlało około 40 żołnierzy. Jeden żołnierz, nazwiskiem Finsterwaldner, piwowar z Göss, ojciec 5 dzieci, dostał pomięszania zmysłów.

Landrat przy warsztacie jawnym i poufnym. Przy tegorocznej kampanii wyborczej w I okręgu szlezwicko-holsztyńskim liczni właściciele restauracyj i posiadacze sal odmawiali swych ubikacyj duńskiemu komitetowi wyborczemu, tłómacząc się, na podstawie już doznanych doświadczeń, obawą szykan ze strony policyi pruskiej. Fakt ten spowodował, iż kandydat duński M. Andresen zwrócił się z przedstawieniem do landrata von Uslara.

Pan von Uslar w formie uprzejmej natychmiast odpowiedział, iż niestety musi pozostawić decyzyi właścicieli lokalów, czy je zechcą, lub nie ofiarować do dyspozycyi p. Andresenowi, natomiast prostuje, iż policya zgoła nie jest w tej sprawie zaangażowaną i zachowanie się jej nie dawało żadnego powodu do skarg.

Równocześnie jednak wysłał p. landrat następujące pismo „ściśle poufne“ do odnośnego burmistrza. „Załączam do wiadomości pańskiej podanie p. Andresena wraz z mojem rozstrzygnięciem. Spodziewam się, że właściciele gospód pozostaną przy tem, iż nie będą udzielali lokalów na zgromadzenia Andresena. Zalecam panu postępowanie ostrożne i zręczne. Gdyby, który z restauratorów zgodził się ustąpić swój lokal, proszę go zanotować.

O wszelkich wybitniejszych zdarzeniach proszę mi stale natychmiast donosić“.

Ta „ściśle poufna“ decyzya dostała się obecnie na szpalty duńskiego pisma „Heimdal“, które wyłowiwszy ją, wydrukowało obok „jawnej“, udzielonej p. Andresenowi...

P. Landrat nie był sam dość „ostrożnym i zręcznym“... Fakt ten bądź co bądź znów dosadnie charakteryzuje perfidyę pruskich urzędników: wszelkich landratów i innych psubratów.

Morderstwo w Zakopanem. Do „Kuryera Lwowskiego“ donoszą z Zakopanego, iż dnia 27 bm. zamordowano tam za Giewontem trzema strzałami pewnego urzędnika, który wybrał się w góry na wycieczkę.

Wpisy do wyższej szkoły przemysłowej i na oddział artystycznego przemysłu odbywać się będą w budynku szkolnym, przy ul. Gołębiej 20, w dniach 1, 2, 3 i 4 września b. r. od godziny 11—12 przed południem i od 4—5 po południu.

Defraudacya
w Towarzystwie rękodzielników i przemysł.

Kraków, 28 sierpnia.

Spekulacye pp. Markusa i Sulikowskiego.

Pp. Markus i Sulikowski wpadli dla ratowania się na prawdziwie lichwiarski pomysł. Oto, zamiast pokryć deficyt z włatnej kieszeni, postanowili poprostu wymusić na właścicielach wkładek, ażeby opuścili $^1/_4$ część z swych pretensyj. Zapomocą tej operacyi dokonywanej na koszt ludzi, którzy zawierzyli Towarzystwu cały swój dorobek, spodziewali się pp. Margus i Sulikowski zmniejszyć dług Towarzystwa z kwoty wkładek 880.000 K na 660.000 K, czyli o 220.000 K. Poczęli tedy właścicieli wkładek nakłaniać do tego, by zgodzili się na opust 25% swych pretensyj, łudząc ich, że te 25% t. zw. funduszu gwarancyjnego otrzymają później.

Przyjaciele pp Markusa i Sulikowskiego, tudzież inni członkowie rady nadzorczej urządzają przytem formalną nagankę na tych, którzy nie chcą płacić za nich szkody, a każdy, kto domaga się zwrotu swych oszczędności, traktowany jest jako „wróg“ Towarzystwa itd.

Konfiskowanie mienia właścicieli wkładek.

Biura Towarzystwa otwarto w środę, zapowiadając, iż od godz. 11 do 1 odbywać się będzie wypłacanie wkładek. Jeżeli już przedtem całą tę tak szumnie zapowiadaną „sanacyę“ nazwaliśmy szopką, to proceder, praktykowany przy wypłacaniu wkładek, jest poprostu czemś niesłychanem.

Tłoczą się do biur Towarzystwa ofiary gospodarki defraudacyjnej: rękodzielnicy, wdowy po majstrach, sieroty, niżsi urzędnicy, wszystko ludzie niezamożni, zarówno katolicy, jak żydzi.

Z cisnącymi się do biur Towarzystwa odbywa się następująca manipulacya:

Co pewien czas wpuszcza się jednego wierzyciela do środka, wypłaca mu się raptem 200 K, a przytem bez jego wiedzy i woli konfiskuje mu się poprostu część jego pretensyj i zamieszcza się na książeczce następującą lakoniczną uwagę: „odciągnięto 25% na fundusz rezerwowy“.

Dla ilustracyi niech służy następujący przykład: Osoba A ma złożonych w Towarzystwie np. 4000 K. Gdy zgłosiła się po zwrot swych oszczędności, wypłacono jej 200 K, a w książeczce zamieszczono następujący rachunek:

Suma należna	4000 K
Wypłacono	200 „
Na fundusz rez. potrącono	1000 „
Pozostaje . .	2800 K!

Właściciel wkładki, który o tem „potrąceniu“ nic nie wiedział, wyszedłszy z biura, spostrzegł z najwyższem zdziwieniem, że włożył do Kasy 4000 K, a obecnie po wypłaceniu 200 K, pozostaje mu tylko 2800 K!

Ludzie powracali tedy natychmiast do biura Towarzystwa, gdzie dopiero pod groźbą skargi sądowej poprawiano te oryginalne rachunki i sumę 25% potrąconą na fundusz rezerwowy, jako protensyę wierzyciela do Towarzystwa doliczano do kwoty, pozostałej po wypłaceniu 200 K.

Czy to ma być „sanacya“ Towarzystwa, o której z takim wrzaskiem rozpisuje się, informowany przez członków rady nadzorczej „Głos narodu“?

To też wśród ludzi cisnących się do biura panowało silne wzburzenie, w przystępie którego proceder z wypłacaniem wkładek charakteryzowano głośno, jako: „łajdactwo! złodziejstwo“! itd.

Pp. radni miasta Markus i Sulikowski zapomnieli widocznie, że tego rodzaju proceder z wypłacaniem wkładek koliduje już nie tylko z sumieniem ludzkiem, ale po prostu z kodeksem karnym. Łudzą się oni, jeżeli sądzą, że ludzie tak łatwo zniosą tę bezprawną konfiskatę ich pieniędzy, jak konfiskatę kartek wyborczych.

W artykule zamieszczonym w wtorkowym numerze naszego pisma wyłuszczyliśmy obszernie poglądy nasze na sprawę sanacyi Towarzystwa.

Deficyt Towarzystwa powinni pokryć z własnej kieszeni ci, którzy mieli obowiązek czuwać nad gospodarką w Towarzystwie, a więc pp. Markus, Sulikowski i inni członkowie rady nadzorczej i dyrekcyi. Przecie nie mogą tracić ludzie niezamożni, którzy powierzyli Towarzystwu swój grosz w zaufaniu, iż groszem tym rzetelnie będzie się gospodarowało.

Od czegóż siedzieli w radzie nadzorczej tacy panowie, jak Sulikowski i Markus?

Defraudacya w Towarzystwie rękodzielników oświetliła tak jaskrawo ich niedołęstwo i niedbalstwo, zupełną nieznajomość z ich strony najprostszych zasad kierowania instytucyą finansową, że panowie ci powinni obecnie zupełnie zniknąć z widowni.

Przez tyle lat dokonywał Müller defraudacyj w sposób tak prosty, że pierwszy lepszy laik byłby ją odkrył; prowadził całkiem spokojnie rachunki z kradzionych pieniędzy, układał tabele defraudacyj, a pp. Markus i Sulikowski siedzieli w radzie nadzorczej nie wiedząc o niczem. Müller był tak bezczelny, że wyjeżdżał sobie na urlopy, zostawiając fałszowane księgi zupełnie spokojnie bez swej „opieki“; uważał on obu tych panów za takich „mądrych“, że i tak na niczem się nie połapią. I pod nieobecność Müllera, panowie ci niczego nie zauważyli, dopiero dopomógł im jeszcze głupszy Kavka, który w nieobecności Müllera przyszedł podjąć pieniądze na sfałszowaną książeczkę.

Ciekawi jesteśmy, skąd tacy ludzie mogą mieć pretensyę do odgrywania roli „przewodników“ mieszczaństwa? Jak mogą oni zasiadać w różnych instytucyach finansowych, jako rzeczoznawcy, cenzorowie itd., skoro zdradzili taki brak sprytu i niedołęstwo. Jak mogą zasiadać w radzie miejskiej?

Nie należy przytem zapominać o pewnym ważnym momencie. Oto pp. Markus i Sulikowski wodzący od pewnego czasu rej wśród mieszczaństwa krakowskiego, posiadają wpływy, których używają w różnych celach i kierunkach, należą wraz ze swym przyjacielem politycznym Bazesem (który w krytycznej chwili drapnął z Krakowa, by go nie proszono o pomoc) do tej kliczki, która grupuje się dookoła sztandaru p. Lea, która dopomogła p. Leowi do zwycięstwa i dopomaga do uprawiania polityki w mieście. Kliczka ta składająca się z wpływowych lichwiarzy, cenzorów bankowych lub członków komisyj podatkowych, podczas wyborów groźbą utraty kredytu lub podwyższenia podatku teroryzuje w najstraszniejszy sposób mieszczaństwo.

Dwóch pierwszorzędnych macherów tej kliki dowiodło, jak umieją gospodarować w instytucyi publicznej.

Przy sposobności nie możemy pominąć listu p. Staniszewskiego, ogłoszonego przed kilku dniami w „Czasie“ i „Reformie“. P. wiceprezydent Staniszewski, długoletni syndyk Tow. rękodzielników, w liście tym umywa ręce od wszystkiego, twierdzi, iż o wewnętrznej gospodarce w Towarzystwie niema żadnego pojęcia i że rola jego ograniczała się tylko do wytaczania skarg wekslowych.

Ciekawi jesteśmy, z jakiego to nagle powodu p. Staniszewski obniża tak swą wartość i rolę, jaką w Towarzystwie odgrywał. Przecież jako długoletni syndyk tej instytucyi, uczestniczący w posiedzeniach rady nadzorczej, człowiek bystry i zdolny, a zapewne i znawca spraw finansowych, nie mógł nic nie wiedzieć o wewnętrznych sprawach Towarzystwa i niewątpliwie ponosi winę w tem, że nie zwrócił uwagi dyrekcyi i członków rady nadzorczej na obowiązki ustawą na nich nałożone, na to, że likwidator i buchalter nie mogą być w jednej osobie itd. Zresztą, jako człowiek ubiegający się o różne honorowe, obywatelskie stanowiska, powinien był p. Staniszewski troszczyć się nieco więcej o dobro instytucyi, której tyloletnim był syndykiem.

Przedstawiliśmy sprawę defraudacyi w Towarzystwie rękodzielników w świetle bezstronnem i prawdziwem. Fałszywe komunikaty w „Głosie narodu“ i w „Czasie“, zamieszczane w celu ratowania kilku skompromitowanych jednostek, nie przemówią z pewnością nikomu do przekonania. Defraudacye w Tow. rękodzielników, to jedna wielka stajnia Augiasza, której gruntowne oczyszczenie powinno się rozpocząć od zupełnego usunięcia pp. Markusa i Sulikowskiego.

TELEGRAMY

Nadużycia wekslowe w przemyskiej Kasie oszczędności.

Przemyśl, 29 sierpnia. (Tel. „Naprzodu“). Wczoraj wykryto w oddziale wekslowym miejskiej Kasy oszczędności cały szereg weksli, posiadających fałszywe podpisy. Wiele weksli wystawionych było na nazwiska wcale nie istniejących osób. Na razie stwierdzono, że sfałszowano weksle z podpisami, opiewającymi na nazwiska Józef Szczygieł, Stanisław Kuc, Józef Małyk, Józef Sikorski, Janina Dobińska, Julia Dobińska, Grünstein itd. Niektóre weksle podpisywane były ołówkiem atramentowym i zostały mimo to wypłacone.

Szkoda wyniesie kilkanaście tysięcy koron. Odkrycie oszustw wywołało ogromne oburzenie w mieście, szczególnie, że po kradzieżach Amorta, domagała się wiecznie prasa zreorganizowania dotychczasowej gospodarki familiarnej.

Przejażdżki ministrów.

Wiedeń, 29 sierpnia. Ministrowie: Gołuchowski i Bohm-Bawerk powrócili wczoraj wieczorem do Wiednia z Budapesztu.

Węgierski minister skarbu Lukacs przybył do Wiednia dzisiaj rano z Budapesztu.

Sprawa cukrowa.

Wiedeń, 29 sierpnia. Porozumienie, jakie wczoraj zostało osiągnięte pomiędzy węgierskim a austryackim ministrem skarbu w sprawie cukrowej, opiera się na tej podstawie, że państwo wysyłające ma zapłacić 3 kor. 50 hal. za 100 kg. cukru konsumcyjnego, zaś 3 kor. 20 hal. za 100 kg. surowego cukru. Ustawa w tej sprawie ma obowiązywać od 1 września b. r., t. j. od terminu wejścia w życie brukselskiej konwencyi. Oba państwa mają tę ustawę załatwić w swoich parlamentach.

Pożary w Budapeszcie.

Budapeszt, 29 sierpnia. Wczoraj powstały w mieście dwa pożary, które wywołały wielką panikę. Mianowicie jeden pożar powstał przy ulicy Kerepes z powodu eksplozyi w bazarze. Pięć osób odniosło rany, z tego jedna ciężkie.

Przed południem powstał drugi pożar przy placu Gizeli w lokalnościach stajennych pralni parowej. Ogień powstał z pewodu, iż dzieci woźnicy bawiły się w „pożar magazynu paryskiego“ i zapaliły słomę, znajdującą się w stajni. Ogień zlokalizowano.

Powstanie w Macedonii. Zamach na pociąg.

Konstantynopol, 29 sierpnia. Coraz więcej wiary znajduje wersya, że maszyna piekielna została podsuniętą do pociągu razem z prowiantami. W każdym razie zamachu dokonano wewnątrz pociągu, a nie przez podłożenie dynamitu na szynach.

Konstantynopol, 29 sierpnia. Wczoraj wieczorem przywieziono tutaj zabitych i rannych podczas zamachu na pociąg konwencyjny. Na kolei zgromadziły się tłumy ludzi. Ranni przewiezieni zostali do szpitala tureckiego i niemieckiego.

Konstantynopol, 29 sierpnia. Według nadeszłych tutaj wiadomości oddziały komitetowe wysadziły w powietrze latarnię morską w zatoce Iniada, zaraz po odpłynięciu floty rosyjskiej do Sebastopola.

We wtorek przypada rocznica wstąpienia sułtana na tron. Obawiają się, iż oddziały komitetowe w tym dniu dokonają zamachów dynamitowych. Poczyniono stosowne środki ostrożności.

Zakaz wywozu broni.

Bruksela, 29 wrześnie. Pojawiło się dzisiaj królewskie rozporządzenie znoszące zakaz wywozu broni i materyałów wojennych do Chin.

Strejk tramwajowców w Belgradzie.

Belgrad, 29 sierpnia. Personal miejskich kolei ulicznych zastrejkował, ponieważ dyrekcya nie dotrzymała obietnic, poczynionych po ostatnim strejku. Ruch zupełnie ustał.

Nieprawdziwa pogłoska.

Waszyngton, 29 sierpnia. Departament państwowy otrzymał depeszę od amerykańskiego posła w Konstantynopolu, według której turecki minister spraw zagranicznych podaje, że niema najmniejszej wiadomości o zamordowaniu amerykańskiego wicekonsula w Bejrucie.

Wysłanie amerykańskich okrętów do Bejrutu uważane jest jako środek ostrożności. Dopóki niema dokładnych wyników dochodzeń, nie będą używane środki drastyczne.

Departament marynarki wysłał depeszę do admirała Cottona do Nissy, aby natychmiast odjechał do Bejrutu.

Londyn, 29 sierpnia. Biuro Reutera donosi z Konstantynopola: Telegram o zamordowaniu amerykańskiego wice-konsula w Bejrucie zrozumiano fałszywie skutkiem błędu w depeszy szyfrowanej. Wchodzi tu w grę mianowicie nie zamordowanie konsula, lecz usiłowany zamach morderczy na tegoż. Mianowicie nieznany człowiek wystrzelił do wiece-konsula, nie trafił go jednak. Kula przeleciała zaraz obok osoby wice-konsula.

Konstantynopol, 29 sierpnia. Porta oświadcza, że dotychczas niema jeszcze żadnego oficyalnego doniesienia w kwestyi zamachu na wicekonsula amerykańskiego w Beyrucie.

Rosya na dalekim wschodzie.

Londyn, 29 sierpnia. „Times“ donosi z Pekinu pod datą wczorajszą, że Japonia przesłała do Petersburga propozycyę co do obopólnego uznania szczególnych praw Rosyi do Mandżuryi i Japonii do Korei.

Ze stowarzyszeń i zgromadzeń.

Konferencya partyjna II. śląskiego okręgu wyborczego odbędzie się we wtorek 8 września b. r. w Cieszynie w hotelu „Miasto Cieszyn“ p. Bobka, przy ul. Frydeckiej.

Kraków. Baczność cholewkarze! W poniedziałek 31 b. m. o godz. $7^1/_2$ wieczorem odbędzie się w stowarzyszeniu „Postęp“, przy ul. Starowiślnej 42, poufne zgromadzenie robotników cholewkarskich.

Wiedeń. W niedzielę dnia 13 września b. r. odbędzie się w sali „zur Weintraube“, V., Schlossgasse 5 o godz. 9 rano zgromadzenie ludowe z porządkiem dziennym: 1) Powszechne prawo głosowania. 2) Dyskusya. Towarzysze! Robotnicy! Polacy! jawcie się licznie. Komitet.

NADESŁANE.

(Za ten dział redakcya nie odpowiada.)

Kongres syonistyczny.

W Bazylei obraduje kongres syonistów z całego prawie świata. Z 930 zgłoszonych delegowanych przybyło 613, w tej liczbie przeszło stu pochodzi z Rosyi, około 50 z Niemiec, następnie reprezentowane są kraje bałkańskie, Belgia, Ameryka, Szwajcarya i t. d. Ciekawe, że nawet żydzi-górale z Kaukazu tym razem przysłali swoich przedstawicieli. Wszyscy znakomitsi przywódcy syonistów są obecni.

Obrady odznaczają się nadzwyczajną gwałtownością i wrzaskliwością. Kto tylko ośmiela się oponować kierownikowi kongresu dr Teodorowi Herzlowi, ten, o ile go nie wykluczają, bywa jako wróg piętnowany; wszyscy wyraźnie go unikają i ignorują. Najważniejszym dotychczasowym momentem kongresu był wstępny referat Herzla, który zdawał sprawę z usiłowań, podjętych w celu urzeczywistnienia dążeń syonistycznych. Herzl wszędzie napotyka usposobienie przyjazne, jednakże żadnych czynów do zanotowania nie ma. Sułtan turecki gotów jest zezwolić na osiedlenie się żydów w prowincyach tureckich, ale na warunkach, nie odpowiadających programowi bazylejskiemu. Anglia chciała dać „Charter" na półwysep Synaj (głównie na El Arisz), ale komisya rzeczoznawców zmuszona była, niestety, skonstatować, że terytoryum to dla braku wody absolutnie nie nadaje się do kolonizowania.

Teraz znów Anglia wyraża chęć przyjścia z pomocą syonistom, przyrzekając żydom swobodę osiedlania się w swoich koloniach wschodnio-afrykańskich, przyczem zapewnia emigrantom zupełną autonomię z rządem żydowskim, pozostającym pod zwierzchnictwem Anglii. Wszakże kongres nie może zadowolić się takiem rozwiązaniem sprawy, ponieważ Palestyna bądź co bądź pozostaje dlań jedynym celem dążeń narodowych. Co zaś do Rosyi, to rząd jej oświadczył, że żadnych przeszkód nie będzie stawiał syonizmowi, o ile ruch ten i nadal będzie dążył do odzyskania Palestyny i o ile będzie stał na gruncie legalnym.

Z mowy Nordau'a podnieść należy przyjętą z zapałem myśl następującą: „Doniosłe znaczenie syonizmu" polega na tem, że dzięki niemu kwestya żydowska stała się „czynnikiem politycznym", z którym liczyć się muszą mężowie stanu wszystkich narodów. „Skoro 12 milionów żydów poczuwa się do swojej narodowości, i jako cel swych dążeń narodowych wytknęło sobie Palestynę, to tem samem wyszli już oni z chaotycznego bytowania i bezdomności i stają w szeregu innych narodów, których istnienie oparte jest na terytorym państwowem".

Po mowie Nordau'a, dr Herzl odczytał nadzwyczaj charakterystyczny list otrzymany od rosyjskiego ministra spraw wewnętrznych Plewego w sprawie syonizmu. List ten rzuca światło na politykę Rosyi względem żydów. Podajemy go więc w dosłownem brzmieniu:

Miałem sposobność informować pana o dotychczasowem stanowisku rosyjskiego rządu względem syonizmu. Ale właśnie to stanowisko może go łatwo zniewolić do zastąpienia polityki tolerancyi środkami, które wskazuje ochrona własnej narodowości. Dopóki syonizm objawiał się jako zamiar założenia niezawisłego państwa żydowskiego w Palestynie, i dopóki celem jego było zorganizowanie emigracyi pewnej liczby poddanych rosyjskich wyznania żydowskiego, dopóty rząd rosyjski mógł mu być bardzo przychylny.

Z chwilą jednak, kiedy ten główny cel usunięto na bok i zastępuje się go prostą propagandą łączności żydowsko-narodowej na rosyjskim gruncie, naturalnem jest, że rząd rosyjski nie może tego ścierpieć. Nie miałoby to bowiem innego rezultatu, jak utworzenie grupy ludzi zupełnie obcych patryotycznym uczuciom, które przecież stanowią siłę każdego państwa, co więcej, ci ludzie stanęliby wobec nas nawet wrogo. Dlatego mógłby syonizm uzyskać na nowo zaufanie rządu wtedy tylko, gdyby powrócił do swego dawnego programu. W takim razie mógłby on liczyć na moralne i materyalne poparcie już od tego dnia, kiedy jego praktyczna akcja przyczyniać by się poczęła do zmniejszenia ludności żydowskiej w Rosyi. Poparcie to polegałoby na protegowaniu syonistycznych pełnomocników przed rządem otomańskim, na ułatwieniu działalności towarzystw emigracyjnych, a nawet na materyalnej pomocy, rzecz prosta nie z zasobów państwowych, lecz z podatków specyalnie ściąganych od żydów. Uważam za konieczne dodać, że rząd rosyjski, który obowiązany jest swoje postępowanie w sprawie żydowskiej zastosowywać do interesów państwowych, nigdy jednakże nie odstąpił od wielkich zasad moralności i ludzkości. W ostatnich dopiero czasach rozszerzone zostały prawa co do zamieszkania żydów w granicach terytoryum, dostępnego dla ludności żydowskiej, i należy się spodziewać, że rozwój tych środków wpłynie na polepszenie warunków bytu wśród żydów rosyjskich; zwłaszcza jeżeli emigracya zmniejszy ich liczbę".

List ten dowodnie wskazuje, że rząd carski najzupełniej się zgadza z istotnymi celami syonizmu.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Kazimierz Kaczanowski. Z drukarni Władysława Teodorczuka i S-ki w Krakowie, Basztowa. Hotel Centralny. (Telefon Nr. 510).